



Julia Fiedorczuk Nieważkość

Poruszająca, czule skupiona na bohaterkach
opowieść o tym, że dojrzewanie nigdy się nie kończy.

OLGA TOKARCZUK

Sześć minut po wschodzie słońca w mieszkaniu Zuzanny Lato na warszawskim Mokotowie zadzwonił budzik. Niezbyt głośno. Łagodnie. Sygnał, pierwsze nuty znanego walca Dmitrija Szostakowicza, wywołał ją z pełnego intensywnych obrazów snu, ale wizje natychmiast zbladły i zanim Zuzanna zdążyła sięgnąć po telefon, żeby wyłączyć muzykę, zupełnie się rozproszyły. Pojawił się natomiast niewyraźny, jakby jeszcze nieupostaciowiony lęk. Bardzo dobrze знаła to uczucie. To było jak wtedy, kiedy wydarzył się coś bardzo złego, ale nie pamięta się co. Ostrożnie, jakby chodziła po zaminowanym polu, zaczęła badać pamięć. Cofnęła się do poprzedniego dnia, tygodnia i miesiąca, ale nie znalazła nic szczególnego, żadnych nowych katastrof. Dalej był już szlaban. Dalej się nie zapuszczała.

Leżała jeszcze przez chwilę z zamkniętymi oczami, wsłuchując się w przyspieszone bicie swojego serca. *Uczynię was rybakami ludzi* – ni z tego, ni z owego przypomniał jej się tytuł obrazu młodej artystki, której portfolio przeglądała jakiś czas temu. Efekt miał być chyba ironiczny. Jezus jako specjalista od reklamy? W gruncie rzeczy banał. Zuzanna nie pamiętała już, co przedstawiał obraz, utkwii-

ło jej w pamięci tylko to jedno zdanie; czuła, że ma jakiś związek ze snem, który śniła tuż przed obudzeniem. „Rybakami ludzi”. Musiał mieć piękny głos, pomyślała. Powoli otworzyła oczy.

Sypialnię wypełniało łagodne, lekko pomarańczowe światło wpadające przez do połowy podniesione rolety. Wstawał pogodny majowy dzień. Był to jeden z tych doskonałych, krystalicznie przejrzystych poranków, które wzbudzają jednocześnie radość i poczucie winy, bo od pierwszej sekundy wiadomo, że nie da się adekwatnie zareagować na taką szczodrość pogody, światła i barw, że dar tego jasnego czasu można tylko roztrwonić. Leżała na wznak z rozrzuconymi ramionami, spiętrzona obok kołdra w bordowej poszewce wyglądała jak miniaturowy masyw górski. Światło, które kładło się na nadgarstkach i opuszkach palców Zuzanny, było prawie namacalne. Zacisnęła pięści, wbijając paznokcie we wnętrza dłoni tak, żeby trochę bolało. W końcu zebrała się w sobie i usiadła.

Wokół łóżka wałały się papiery: zdjęcia, niedokończone rysunki, kartki z notatkami. Ostrożnie, żeby na nic nie nadepnąć, podeszła do okna. Miała widok na skrzyżowanie dwóch dużych ulic, o tej porze niemal całkowicie pustych. Nadjechał pierwszy tramwaj, zatrzymał się, otworzył drzwi, choć na przystanku nikogo nie było, po czym odjechał. Zuzanna przeciągnęła się, stając na palcach i sięgając splecionymi dłońmi w stronę sufitu. Trochę bolała ją głowa. Poszła do kuchni, wycisnęła sok z połówki grejpfruta i wypła go wprost z wyciskacza. Zegarek wbudowany w mikrofalówkę pokazywał czwartą pięćdziesiąt osiem.

Wyplukala wyciskacz i poszła do łazienki, zrzucając po drodze długi tiszert z napisem PUNK ROCKS. Puściła zimną wodę, jak każdego ranka, i jak każdego ranka skurczyła się na moment w reakcji na szok, ale wytrzymała go. Stała pod prysznicem trzy minuty. Potem wytarła się szorstkim ręcznikiem z ekologicznej bawełny importowanej z drugiego końca świata, zasłoniła się tym ręcznikiem sama przed sobą i unikając swojego spojrzenia w lustrze, otworzyła szafkę z kosmetykami. Prześlizgnęła się wzrokiem po gładkich białych słoiczkach. Zdjęła z półki buteleczkę perfum *I love love* i lekko spryskała nadgarstki.

Walizka była prawie spakowana. Dopchnęła ją kolanem i zapięła zamek, potem szybko się ubrała. Garnitur z lnu barwy zboża pasował do jej jasnych włosów. Dopiero teraz przelotnie zerknęła na swoje odbicie. Może być, pomyślała. Przewiesiła przez ramię dużą torbę z podniszczonej skóry i omiotła spojrzeniem mieszkanie. Majowe światło uwydatniało panujący w nim bałagan, więc z ulgą zamknęła za sobą drzwi.

Na dole czekała już taksówka.

– Dzień dobry.

Muzyka dyskotekowa w Radiu PIN brzmiała schyłkowo i smutno, jak pod koniec niezbyt udanej imprezy, na której i tak nikomu nie chciało się tańczyć.

– Lotnisko? – upewnił się taksówkarz.

– Lotnisko.

Był przysadzistym mężczyzną około pięćdziesiątki, z dużą głową, w sklejonych z boku taśmą okularach w ciemnej oprawce. Zuzanna usiadła z tyłu. Między kołnierzykiem mężczyzny a linią jego świeżo ostrzyżonych

włosów dostrzegła wyraźnie zarysowany pasek jaśniejszej skóry.

– Dokąd lecimy? – spytał zmęczonym głosem, spoglądając na Zuzannę w lusterku wstecznym.

– Do Aten – odpowiedziała Zuzanna i ku swojemu zaskoczeniu poczuła, że się uśmiecha.

* * *

Siedzieli naprzeciwko siebie przy dużym biurku pokrytym jasnym laminatem. W wielkim oknie za plecami mężczyzny widziała sylwetki sąsiednich wieżowców na intensywnie niebieskim tle. Przez ułamek sekundy zastanawiała się, gdzie jest, bo to mogło być wszędzie – w Nowym Jorku albo Hongkongu, albo, tak, w Warszawie. Błat był tak nieskazitelnie nowy, gładki i czysty, że Zuzanna odruchowo wyobraziła sobie gwóźdź, najlepiej zardzewiały, rysujący w nim głęboką szramę. Na tym gładkim blacie, między nimi, leżał stos kolorowych wydruków i duży ciemnoczerwony owoc granatu.

– My przecież nie reklamujemy towarów. My nie-re-kła-mu-je-my-to-wa-rów – przesyłabizował. – Reklamujemy ludzką myśl. Oświecenie. Rozumiesz?

Zuzanna westchnęła.

– Tak, ale...

– Ale, ale – zaczął ją przedrzeźniać.

– ...Ale – Zuzanna nie ustępowała – to jest mimo wszystko, no, f i r m a. To jest miejsce do zarabiania pieniędzy. – Wskazała głową okno, jakby widok miał to wyjaśnić skuteczniej niż słowa. – A oni... no wiesz. To są

wywrotowcy. Buntownicy. Przecież oni walczą z takimi jak my.

– E tam, z takimi jak my. – Wziął do ręki granat i zaczął go uważnie oglądać. – My też jesteśmy wywrotowcami. Dla tej firmy pracują najlepsi artyści na świecie. Sama pomagałaś stworzyć ten zespół, to wiesz. – Słowo „zespół” wymawiał bardzo starannie, dokładnie oddzielając spółgłoski. – Tu nie ma lipy. Nikt nikomu nie wciska cudownego kurwa odplamiacza...

– Tylko na przykład kredyty. Albo komputery...

– Ty jednak banalizujesz sprawę, Królewno. – Z impetem opadł na oparcie krzesła. – Komputery. No dobra, komputery, a wyobrażasz sobie jebaną rewolucję bez internetu? – Odłożył granat na stół, owoc potoczył się w kierunku Zuzanny. Odepchnęła go lekko, jakby odbijała piłeczkę.

– Ale... – nie poddawała się – to jest wyjątkowo delikatna sytuacja. Ty wiesz, co się ostatnio działo w Grecji, słyszałaś o kryzysie, prawda?

– Kryzys – powiedział, nachylając się lekko nad blatem i patrząc Zuzannie prosto w oczy – to jest stan umysłu.

Zuzanna westchnęła. Znała go wystarczająco dobrze, by wiedzieć, że w takich momentach nie trafią do niego żadne argumenty. Jego entuzjazm był jak fala uderzeniowa po jakiejś potężnej eksplozji, zmiatał wszystko, co stanęło mu na drodze.

– Przecież ja jestem po ich stronie! – Wyrzucił ramiona do góry, jakby przywoływał opatrność na świadka prawdziwości swoich słów. Granat znowu potoczył się w kierunku Zuzanny, odepchnęła go. – Popatrz na mnie. – Wskazał na siebie obydwoma dłońmi. – Czy ja nie je-

stem wywrotowy? Czy nie jestem artystą? Jestem artystą, nie?

– Tak – powiedziała Zuzanna ugodowo. – Jesteś artystą. Ale tam ludzie mieszkają na ulicach. Bywa, że głodują. Nie jestem pewna, czy to do ciebie dociera...

– W Warszawie też głodują! – skonstatował radośnie. – I po chuj głodują? Jest kaska jak się patrzy, międzynarodowa. I co w tym złego, że głodny artysta dostanie uczciwe pieniądze za swoją robotę? To się nazywa mecenat. Jesteśmy mecenasami sztuki, podoba się? To jest projekt projektów, Królewno. Biznes i rewolucja w jednym. Tak?

Zaczęła przeglądać wydruki. Zdjęcia, jedno lepsze, inne słabsze, niektóre o kiepskiej rozdzielczości, wydrukowano na dobrym papierze fotograficznym, zupełnie bez sensu. Jak obscenicznie piękna dokumentacja jakiejś dziwnej zbrodni. Jak coś, co powinno było pozostać w ukryciu.

– Mówię ci, to jest dobry staf – powiedział.

– Skąd to właściwie masz? – zapytała.

– No jak to skąd? Z internetu.

Bębnił palcami w blat stołu, granat leżał między jego dużymi żyłastymi dłońmi, bujając się lekko. Zuzanna w milczeniu przeglądała wydruki. Jedno ze zdjęć przedstawiało obraz składający się z samych cyfr. Z setek, tysięcy drobnych cyfr. Przemknęło jej przez myśl, że gdzieś już to chyba widziała.

– Ma potencjał – powiedział Rafał głosem profesjonalisty. Poprawił okulary w rogowej oprawce, które ciągle zjeżdżały mu z nosa.

– Jak ta od Jezusa? – spytała z przekąsem.

Nadal przyglądała się cyfrom. Przez moment obraz wydawał jej się trójwymiarowy.

– Zapomnij. Tamta była rzetelnie porąbana. Ale to jest dobry staf. Czysta energia.

Zuzannie nagle zakręciło się w głowie, może dlatego, że zdjęcie było takie nieostre. Odłożyła wydruki.

– No, poleć tam i pogadaj – namawiał. – Polecisz?

Na jego chudych policzkach pojawiły się mocne rumieńce, jakby dostał gorączki. Wpatrywał się w nią intensywnie dużymi błękitnymi oczami.

– Tylko dwa dni.

– Racja – przyznała w końcu zrezygnowana. – Tylko dwa dni.

– Jak trzeba, to ty masz gadane – ciągnął. – Znasz te wszystkie języki.

– Wszystkie to nie.

– Najwyżej będziesz udawała Greka – powiedział i głośno się roześmiał, po czym wyciągnął rękę nad blatem. – Przybij piątkę.

Zuzanna przybiła.

– Zabieram to – oznajmiła, wskazując na wydruki.

Włożyła papiery do torby, wstała i podeszła do drzwi. Położyła już rękę na klamce, ale się zawahała, miała wrażenie, że coś jej umknęło. Rafał obracał się na krześle z granatem w uniesionej dłoni; Zuzanna utkwiała w nim wzrok, jakby właśnie tam spodziewała się znaleźć odpowiedź.

– No co? – zapytał jakby trochę speszony. – Co się tak przyglądasz? Samo zdrowie. Przecież ci taki owoc nie wybuchnie, nie?

Po pracy zebrali się w sali konferencyjnej na zajęcia z medytacji. W szarych outfitach do fitnessu byli zuniformizowani jak mnisi. Krzesła piętrzyły się pod ścianami, na środku leżały maty i poduszki. Zuzanna zajęła miejsce obok Rafała, który już siedział w pozycji półłotosu.

– Jest moc – wyszeptał.

Postukała się w głowę. Bez okularów jego oczy zdawały się mniejsze i bezbronne, rozebrane. Zuzanna zastydziła się nagle. Wezbrała w niej czułość, nie chciała tej czułości.

Instruktorka kazała im stanąć. Poczucie gruntu pod nogami. Złożyć ręce jak do modlitwy.

– O tak – pokazała – na wysokości mostka. Czakra serca. Wasze wielkie współczucie.

Miała doskonale wyrzeźbione, lekko opalone ciało, jasne wyprasowane włosy, gładką twarz i łagodny uśmiech istoty, która osiągnęła wyższy poziom rozwoju duchowego i dobrze o tym wie.

– Poszukujcie kontaktu ze swoją prawdziwą naturą – powiedziała.

Zwinna sylwetka bez grama tłuszczu, bez cellulitu, bez zbędnego owłosienia była dowodem na to, że ona już znalazła.

– Ten czas jest dla was – mówiła. – Celebrycie go. Matka Ziemia przyciąga was do siebie.

Personel kreatywny agencji Time's Arrow położył się na podłodze i oddychał w rytm poleceń wysportowanej boginki; kilkadziesiąt ciał owiniętych w szare bawełniane całuny, ludzkie poczwarki, z których wykluje się czysta energia, dla dobra firmy i pięknego świata ze stali i szkła,

dla nieśmiertelności ducha, w imię wolności od brudu, pleśni i gnicia, od tłuszczu, próchnicy, łupieżu i wrastających paznokci.

Zuzanna próbowała „celebrować”, ale kiedy zamknęła oczy, natychmiast poczuła się bardzo zmęczona. Pulsowało jej w skroniach, oddychała nierówno, jakby brakowało jej powietrza, w głowie kłębiły się myśli i obrazy, strzępki rozmów, pojedyncze słowa w różnych językach. Sala znajdowała się na jedenastym piętrze biurowca, więc ziemia była bardzo, bardzo daleko. Zuzanna pomyślała o świeżo zaoranym polu, o przedwiośniu, ale to zaraz znikło. Za pięć dni leci do Aten. Tamta książka, którą oglądała z ojcem tysiące lat temu, brzydkie ilustracje...

– ...cztery centymetry poniżej pępka – mówiła instruktorka.

Zuzanna miała wrażenie, że budynek lekko drży. Uporczywy film w głowie wyświetlał się wciąż od nowa, ta sama zgrana taśma, pory roku, lęki i wspomnienia; w końcu marzyła już tylko o tym, by wszystko ucichło. Gdyby ktoś mógł odłączyć prąd...

– Możecie myśleć „energia”.

...nacisnąć komendę „Wyloguj”. Wsunęła palce pod ubranie i pogładziła to miejsce, cztery centymetry poniżej pępka. Ciepło własnej skóry zawsze było zaskakujące; film trwał, żywiąc się jej życiem.

– Możecie myśleć „dusza”.

Gdyby ktoś mógł nacisnąć komendę „Delete”.

– Możecie myśleć „Bóg”.

– Może skoczmy na browar? – zaproponował Rafał, kiedy składali maty po zajęciach. – Piąteczek jest. Wypijemy za grecką rewolucję.

– Dzięki, ale nie dam rady – odpowiedziała Zuzanna.

– Jestem kompletnie padnięta.

– Serio? Bo ja to po tym całym oddychaniu jestem normalnie jak pilot bombowca. Jak jakiś jebany samuraj.

Roześmiała się i poklepała go po ramieniu.

– Następnym razem, samuraju. Jak tylko wrócę z tych Aten. Pójdziemy.

– Bez ściemniania?

– Bez. Jesteśmy umówieni. Jeśli chcesz, możemy znowu do Tłenu.

– To pa, Królewno, i uważaj na siebie. Może zrobię tę nową Joasię...

– Bawcie się dobrze. Poopowiadaj jej o ezoteryce.

Nie chciało jej się przebierać, więc upchnęła biurowe ubrania do torby i zarzuciła kurtkę na szary dres. Był pogodny i rześki wiosenny wieczór; zaczął się ten sezon, kiedy czas nagle bardzo przyspiesza i każda noc przynosi zmianę dekoracji. Właśnie pojawiły się świeże listki, małe seledynowe eksplozje jak plamki źle wymieszanej farby na dyletanckim obrazie. Zuzanna wysiadła z tramwaju przystanek wcześniej, żeby trochę się przejść. Wzdłuż ulicy rosły duże kasztanowce, ich liście, jeszcze bez śladów choroby, przypominały miniaturowe zielone pióropusze. Zmęczenie ustąpiło, może ta medytacja jednak trochę działała. Zuzanna czuła się lekka i prawie radosna. Dusza kołysała się w jej miednicy jak dziecko, które śpi, mocno śpi,

ale żyje i będzie żyło jeszcze bardzo długo. Pogłaskała się po brzuchu. Gdyby mogła schudnąć. Niedużo, dwa, najwyżej trzy kilogramy.

Wstąpiła do delikatesów. Włożyła do koszyka słoik dużych czarnych oliwek, kawałek sera i butelkę czerwonego wina. Dwoje młodych ludzi, kochankowie, oglądało zamienniki makaronu, rozmawiając o „białej śmierci”. Zuzanna zapłaciła i wyszła. Tuż obok drzwi sklepu siedziała na murku obdarta kobieta z dwiema dużymi reklamówkami z napisem TRIUMPH. Wystawiała pomarszczoną twarz do słońca. Była spokojna, prawie radosna, jakby ona też odnalazła swoją prawdziwą naturę, jak ta instruktorka od medytacji. Zuzanna zamarła w pół kroku. Kosmyk klejących się od brudu włosów opadał na pobrużdżone czoło kobiety. W za dużej kurtce musiało jej być gorąco, ale sprawiała wrażenie, jakby przebywała gdzieś, gdzie nie dotyczy jej już żaden cielesny dyskomfort. Dusza Zuzanny obudziła się, zaczęła lekko kopać.

– Na co się tak patrzy? – spytała nagle kobieta ochrypniętym, ale ładnym głosem.

– Przepraszam – powiedziała Zuzanna zawstydzona.

Wyjęła z portfela banknot dziesięciozłotowy i podała go kobiecie. Kobieta rozpromieniła się, podniosła ze swojego siedziska i zamasyżycie ukloniła.

– Zdrówka – powiedziała. – Niech bozia da zdrówka.

W mieszkaniu Zuzanny panował straszliwy bałagan. Zatrzymała się na progu i pomyślała, nie pierwszy raz, że ma za dużo rzeczy. Czasem wyobrażała sobie, jak wyrzuci wszystkie te graty na śmietnik, wysyła w niebyt. Górę

ubrań, część jeszcze z metkami, bo kupowała je pod wpływem impulsu, na wyprzedających albo na wyjazdach, a potem okazywało się, że nigdy ich nie włoży albo włoży dopiero kiedyś, kiedy schudnie i odmłodnieje, więc łądowały w głębi szafy na przechowanie. Niemieszczące się na półkach sterty książek, z których przeczytała najwyżej połowę, a przecież było już jasne, że nie starczy jej życia na przeczytanie reszty. Nietrafione kosmetyki. Pamiątki przytargane z pierwszych zagranicznych podróży. Niedziałające iPody. Ładowarki do telefonów, laptopów i aparatów fotograficznych. Kable z wtyczkami, które do niczego już nie pasowały. Stare radio. Rysunki i zdjęcia. Fantazjowała, że pozbywa się całej tej rupieciarni, usuwa osad wszystkich przemieszkanych tu lat, zrzuca wylinkę i rodzi się jeszcze raz, jeszcze raz zaczyna wszystko od początku, od zera. Pomalowałaby ściany na biało. Kupiłaby sobie prosty czarny materac. Dwie pary dżinsów, jedną sukienkę, jedno buty. Wszystko zawsze byłoby na swoim miejscu, nic by się nie gubiło i nie gniotło, właściwie nie musiałyby sprzątać. Kiedyś. Kiedyś tak robi. Kiedy już schudnie, odmłodnieje i odeśpi dwadzieścia lat zarwanych nocy.

Stąpając między porozrzucanymi na podłodze książkami i płytami, dotarła do kuchni i postawiła torbę na blacie. Wyjęła ser, oliwki i wino. Niebo za oknem miało teraz żółtawy odcień. W górze zebrały się chmury, były to jednak chmury czysto dekoracyjne, nie deszczowe. Zuzanna oparła się biodrami o blat, położyła dłonie na pośladkach i pochyliła się lekko do przodu. Przyjemnie było tak stać. W dole na światłach utworzył się długi rząd samochodów, ktoś natarczywie trąbił. Trwała przez chwilę bez ruchu,

rejestrując dźwięki i gęstniejące światło. Wykonywała to ćwiczenie od wczesnego dzieciństwa. Pytała siebie: Czy zapamiętam ten moment? Czy będę umiała spośród tysięcy podobnych wyłowić akurat tę chwilę? A jeśli nie – to co się z nią stanie? Przepadnie? Łatwiej pozbyć się długich lat życia niż ładowarki do niedziałającego smartfona, pomyślała.

Potem pokroiła ser, przełożyła oliwki do miseczki, otworzyła wino. Ustawiła to wszystko na kuchennym stole i włączyła radio. „Nie będę ukrywała, że nie znam pana twórczości”, odezwał się jakiś kobiecy głos, „bo literatura to nie moja branża, ale podobno odniósł pan sukces?”. „O tak, odniosłem zaje...”. Wyłączyła. Wśród rozrzuconych na podłodze płyt znalazła *I Koncert fortepianowy* Szostakowicza, włączyła. Przyniosła z pokoju duży blok techniczny i ołówki. Usiadła przy stole, nalała sobie wina i przez dłuższą chwilę po prostu słuchała muzyki. Zmierzchało się. Wieczory były trudne, najtrudniejsze, jakby zmiana oświetlenia uruchamiała jakiś dodatkowy, za dnia uśpio-ny zmysł nastrojony na odbieranie sygnałów akurat z tych okolic przeszłości, o których Zuzanna wolałaby nie pamiętać, a które jak na złość, miały w sobie coś trwalszego nawet od elektronicznych śmieci. Jakby pod wpływem tego szczególnego czasu, już nie dnia, ale jeszcze nie nocy, otwierał się kanał komunikacji między nią, prawie czterdziestoletnią, a kimś innym, kim kiedyś była – albo kim mogłaby być, gdyby nie to, że czegoś jej brakowało – siły, talentu, młodości? Doskonałej figury? Czegoś jej brakowało i właśnie wieczorami ten brak stawał się dojmujący, prawie nieznośny.

Dolała sobie wina i wzięła ołówek. Zaczęła szkicować, najpierw delikatnymi, potem nieco mocniejszymi pociągnięciami. Powoli na białej kartce pojawił się zarys dwóch kobiecych dłoni zwróconych wnętrzami do przodu. Palce ugięły się lekko, w geście, który mógł stanowić zaproszenie albo prośbę. Prawy palec wskazujący był ucięty tuż powyżej nasady, zamiast niego sterczał w tym miejscu tylko tępo zakończony pień. Powoli, kreska po kresce Zuzanna zacieniowywała szkic. Rysowała linie papilarne. Uśmiechnęła się na myśl o tym, że tworzy los, który nikomu nie przypadnie w udziale. Los bez człowieka, bezpieczny los. Dolała sobie wina. Po namyśle dorysowała do uciętego palca pokryty gęstą łuską, zwięzający się ku końcowi ogon jaszczurki. Muzyka już się skończyła i w mieszkaniu panowała cisza. Zuzanna przyjrzała się obrazkowi. Gdzieś to już widziała, ale gdzie?

W prawym dolnym rogu narysowała dziesiątkę. Potem jeszcze w innych miejscach, eksperymentując z różnymi kształtami cyfr. Wreszcie odłożyła ołówek. Wstała od stołu i obejrzała obrazek z daleka. Znowu usiadła. Znowu wstała. Rzuciła rysunek na podłogę. Włączyła jeszcze raz tę samą płytę i znów dolała sobie wina. Zachodziło słońce. W smugach pomarańczowego światła wlewającego się przez duże okna wirowały drobinki kurzu. Oparła się biodrami o blat, położyła dłonie na pośladkach i pochyliła się lekko do przodu; przyjemnie było tak stać. Ruch na ulicy nieco zelżał. Przesunęła dłonie do góry, powędrowała palcami wzdłuż kręgosłupa. Gapiła się bezmyślnie na skrawek ładnego świata za oknem. Na wiosnę, która znowu przyszła, za darmo i po nic.